

Dom Św. Marcina de Porres
Misión y Compasión
Karolina Kruk, PERU
Wrzesień 2024

Kochana Rodzino, Przyjaciele, Darczyńcy!

Napisałam dla Was kolejny list, w którym przedstawię Wam kilku naszych Przyjaciół, których odwiedzamy w naszej dzielnicy. Jak wiecie, naszą misją jest towarzyszenie ludziom w ich codziennym życiu, uważne słuchanie ich, wspólna modlitwa, niesienie im radości i nadziei, bycie przy nich. Przyjaciół w dzielnicy mamy bardzo dużo, zwłaszcza osoby starsze i samotne, ale też młodzież i dzieci, o których pisałam w poprzednim liście. Chciałabym Wam napisać trochę więcej o niektórych z nich.

Señora Olimpia

Señora Olimpia niedawno skończyła 98 lat. Świątowałyśmy te urodziny wraz z jej rodziną. Był tort, było jedzenie, które przyrządza się w rodzinnych stronach señoiry Olimpji, były tańce i dużo muzyki. Miałyśmy ogromne szczęście spędzić ten dzień z naszą Przyjaciółką. Señora Olimpia do Limy przyjechała wiele lat temu z górskiej prowincji Ankash. Jak wszystkie kobiety pochodzące z terenów górskich, señoira Olimpia zawsze ma na sobie spódnice charakterystyczną dla swojej wioski, a na głowie kapelusz, który ściera tylko na



czas trwania mszy świętej i na modlitwę. Mimo swojego podeszłego już wieku, problemów ze wzrokiem (prawie nic nie widzi), ze słuchem (bardzo słabo słyszy) i z chodzeniem, w kościele jest w każdą niedzielę. I tak naprawdę to jest jej jedyne wyjście z domu w ciągu całego tygodnia. Mieszka ona na wzgórzu ze stromym podejściem i od kościoła dzieli ją 20-minutowy spacer. Ponieważ nie widzi, jest całkowicie zdana na pomoc swojej rodziny lub naszą (gdy rodzina akurat nie może jej towarzyszyć). Czasem więc odprowadzamy ją do domu, żartując sobie w drodze, że chyba ma buty, które same ją noszą do tego kościoła i z powrotem, bo niemożliwe jest, by w tym wieku tak maszerować i to jeszcze w każdą niedzielę. Imponujące jest jej pragnienie uczestniczenia we mszy świętej. Jest niezwykle uparta, by na nią przychodzić. Nie strasze jej choroby, złe samopoczucie, zimno, upały, niemożność widzenia i słyszenia, ból nóg. Msza święta to dla niej świętość – musi na niej być i kropka. Gdy odwiedzamy señoirę Olimpię w domu, zawsze zastajemy ją samą, siedzącą na krześle w korytarzu i nasłuchującą, kto przyszedł. Gdy mówimy, skąd jesteśmy, jej twarz natychmiast się zmienia, uśmiecha się szeroko i z radością mocno przytula każdą z nas mówiąc: „Witajcie, moje serca”, „dziękuję, że o mnie pamiętałyście”, „nikt inny mnie nie odwiedza, tylko wy”, „nie zapomnijcie o mnie”. Ta radość i miłość, jaką nas obdarowuje kiedy przychodzimy, sprawia, że topi mi się serce. Nie sposób jej nie pokochać od pierwszej wizyty. W takich chwilach zdaję sobie sprawę, jak ogromną wartość mają dla niektórych te nasze zwykłe wizyty, ten czas, który my mamy



do zaferowania, a inni go potrzebują. Señora Olimpia mieszka z rodziną, która o nią dba, jednak wszyscy całe dni spędzają w pracy lub w szkole, więc ona zostaje sama. Podczas moich pierwszych wizyt w jej domu odmawialiśmy z nią różaniec. Myślałam, że nic nie słyszy, więc ciężko z nią rozmawiać. Tymczasem pewnego razu odkryłam, że wręcz przeciwnie – señora Olimpia jest bardzo chętna do rozmowy, trzeba tylko mówić głośno. Mało tego, jest z niej niezły żartowniś. Ma ogromny dystans do samej siebie. Jej poczucie humoru i riposty mnie rozbijają, a jej śmiech jest cenniejszy niż wszelkie prezenty. Gdy kończymy wizyty, wciska nam słodziutkie pomarańcze i prosi, żebyśmy ją szybko znowu odwiedziły. Señora Olimpia ma guza w brzuchu, którego nie można operować ze względu na jej stan zdrowia i wiek. Wiem, że sprawia jej on wiele bólu, ale nigdy się nie skarży. Niedawno przez tego właśnie guza, señora Olimpia straciła przytomność w kościele i złamała sobie biodro. Dawno nie widziałam takiego bólu na czyjejs twarzy jak na twarzy Olimpii, gdy poszliśmy ją odwiedzić tego samego dnia. Ból tak wielki, że wykrzywił jej twarz. Zniknęły żarty, zniknął uśmiech, pojawiły się łzy.

Serce pękało na ten widok. Jednak największy ból dla señory Olimpii to niemożność pójścia na niedzielną mszę. Staramy się w tym trudnym dla niej czasie odwiedzać ją jeszcze częściej, bo z tym całym bólem, który w sobie nosi, fizycznym jak i duchowym, jest jej naprawdę ciężko, zwłaszcza gdy zostaje sam na sam ze swoimi myślami. Jeśli ktoś może, proszę o modlitwę w jej intencji.

Señor Víctor

Domek zбитy z desek i pomalowany na niebiesko. W środku ciemności, jedyne światło wpada przez uchylone drzwi, którymi właśnie weszliśmy. Zamiast podłogi – klepisko. Dwa rude koty snują się z kąta w kąt. Señor Víctor siada na krześle naprzeciwko nas. Na głowie ma czapkę z daszkiem. Zawsze korci mnie, żeby mu ten daszek dać na bok i w końcu któregoś dnia mi się to udaje, co wywołuje jego śmiech :). Señor Víctor mieszka sam. Jest nieufny, gdy ktoś puka do drzwi. Na hasło, że to my wpuszcza nas do środka. Ogólnie rzecz biorąc, te słowa otwierają wiele drzwi. Samą mnie czasem dziwi, jak wielkie zaufanie mają do nas ludzie, słysząc je. Kilka lat temu odeszła żona señora Victora – Rosa, zmarła po długiej walce i ciężkiej chorobie. Od tego czasu został on sam. Señor Víctor żyje bardzo skromnie. Utrzymuje się ze sprzedaży ubrań na ulicy. Czasem coś sprzedaje, czasem nie. Tak więc czasem jest za co ugotować obiad, a czasem nie.

Tegoroczna zima w Limie, która trwa od czerwca aż do teraz, też daje się mocno we znaki naszemu Przyjacielowi. Dom, w którym mieszka, jest zбитy byle jak z desek, między niektórymi są mniejsze lub większe dziury, między „ścianami” a dachem z blachy też są dziury, przez które wpada zimne powietrze. Cienkie deski nie dają ciepła. Ciepłej wody, by wziąć gorącą kąpiel, brak. Dodatkowo señor Víctor ma problemy z krążeniem, ostatnio poskarżył się nam, że gdy kładzie się spać, jest mu zimno i nie może się rozgrzać w nocy, mimo że ma czym się przykryć. Podarowaliśmy mu termofor w nadziei, że będzie go używał.

Señor Víctor ma problemy z pamięcią. Przez to wiele razy słyszymy od niego różne historie, które staramy się ułożyć w jakąś całość. Pracował kiedyś jako kucharz w restauracji, lubi gotować i ma słabość do kotów, które



często przygarnia z ulicy. Nie ma dzieci, a z rodzeństwem nie utrzymuje bliskich kontaktów. Nie znamy wielu szczegółów z jego życia, ale zawsze chętnie z nami rozmawia, o tym, jak kiedyś pracował w restauracji, jak nauczył się gotować, o kotach, których miał wiele, o jego żonie. Czasem zapraszamy go na obiad, starając się wcześniej wypytać, jakie danie najbardziej lubi i je przygotować. Señorowi Víctorowi zawsze wszystko smakuje i jest niesamowicie wdzięczny, że go zapraszamy. Nauczyliśmy się, że nigdy nie pamięta, że ma do nas przyjść, więc przychodzimy po niego do domu. Po drodze zawsze kupuje Coca-Colę i na nic nasze prośby, by tego nie robił. Mówi, że chce mieć jakiś wkład w obiad, więc mimo że znamy jego sytuację, z bólem serca zgadzamy się na ten zakup. W dniu jego urodzin zaprosiliśmy go do domu, upiekliśmy ciasto i zaśpiewaliśmy kilka piosenek, a on wzruszył się zdziwiony, że ktoś pamięta o jego urodzinach, o których nawet on sam nie pamięta.

Trzeba tutaj wspomnieć, że celebrowanie urodzin naszych Przyjaciół to bardzo ważny element naszej misji. Często jesteśmy jedynymi osobami, które tego dnia odwiedzają jubilatę i wielokrotnie spotkałyśmy się z wielkim wzruszeniem z tego powodu. Wspaniale jest widzieć te iskierki radości w oczach naszych Przyjaciół, gdy śpiewamy hiszpańskie „Sto lat”, trzymając w rękach tort ze świeczkami. O tym, kiedy kto ma urodziny, wiemy z kalendarza, w którym są wszystkie daty urodzin naszych Przyjaciół. Co tydzień ten kalendarz przeglądamy, by sprawdzić, kto w danym tygodniu ma urodziny i coś dla niego przygotować.



Señor Manuel i señora Rosa, Elida i Daisy

Wśród naszych Przyjaciół mamy też piękne rodziny. Jedną z takich jest rodzina señora Manuela i señory Rosy. Señor Manuel kilkanaście lat temu miał wypadek i od tego czasu jest przykuty do łóżka. Karmiony przez sondę, sparaliżowany. Gdy ich odwiedzamy, zazwyczaj rozmawiamy z jego żoną, Rosą, bo señor Manuel nie zawsze może mówić. Mieszkają razem z dwoma córkami, Elidą i Daisy, i z mężem Daisy, Luisem. Wszyscy niezwykle troszczą się o señora Manuela. Obchodzą się z nim z wielką miłością, każdy chętnie pomaga, nikt nie narzeka. Po prostu wchodzi się do tego domu i czuje unoszącą się w powietrzu miłość. Całkiem niedawno señor Manuel obchodził urodziny. Jako że jest on wielkim fanem piłki nożnej, kibicem lokalnej drużyny La Universidad, która od zawsze rywalizuje z drugą ekipą – Allianza Lima, wymyśliłyśmy z dziewczynami, że trochę sobie z niego

pożartujemy. Zabrałyśmy więc wielką flagę rywala jego ulubionej drużyny i po odśpiewaniu „Sto lat” wyciągnęłyśmy ją i z okrzykiem „naprzód Allianza” rozbawiłyśmy nie tylko señora Manuela, ale i całą rodzinę. Wymachiwałyśmy tą flagą jeszcze przez chwilę ku wielkiej radości wszystkich. Nigdy nie widziałam tak śmiejących się oczu u naszego Przyjaciela.



Usiadłam później, by po raz pierwszy z nim porozmawiać. I mimo że z trudem przychodziło mu mówienie, to okazało się, że jest on gadułą. To była dla mnie wielka łaska porozmawiać z nim o piłce nożnej, o muzyce, pożartować, zobaczyć uśmiech, usłyszeć jego głos, zobaczyć, jaki jest szczęśliwy, mimo tego, że od wielu lat nie opuszcza łóżka. Myślę, że ta radość bierze się z tego, że czuje się on kochany i zaopiekowany przez swoją rodzinę. Czuje, że nie jest dla nich ciężarem, ale darem i że wszyscy cieszą się każdym kolejnym dniem spędzonym z nim. Señor Manuel poprosił mnie, o zgrozo, żebym zaśpiewała coś po polsku. Lubię śpiewać, aczkolwiek niekoniecznie publicznie i niekoniecznie potrafię :) Próbowałam się jakoś wykręcić, ale nie wyszło i do tej pory nie wiem, dlaczego skończyło się na śpiewaniu „Cichej nocy” (w sierpniu!) w trzech językach. Żeby tego było mało, to cała rodzina naciskała, żebyśmy pokazały na YouTube nasze narodowe tańce. Wymyśliłam, że pokażę im nasze podhalańskie, góralskie wygibasy. Do głowy mi nie przyszło, że później poproszą nas, żebyśmy te tańce zatańczyły. I jako że Marie Sophie (moja siostra wspólnotowa) uwielbia tańczyć, bez problemu wyskoczyła na środek i zaprezentowała swoje umiejętności. Natomiast ja

z tańcem, zwłaszcza przed publicznością, nie jestem w dobrych stosunkach, żeby nie powiedzieć, że w tragicznych. Tym bardziej z tańcem regionalnym. I choćby mi ktoś w Polsce zaoferował milion dolarów, to w życiu bym nie wyszła na środek, żeby zademonstrować swoje taneczne umiejętności, których nie posiadam :). Ale nie byłam w Polsce. Byłam w Peru, w Limie, na urodzinach Przyjaciela, który tak się cieszył z tych tańców, że na nic się zdało moje „nie umiem, nie chcę, i ogólnie jedno wielkie NIE”. Wylądowałam więc na parkiecie „tańcząc” po góralsku w podarowanej mi na tę okazję spódnicy imitującej spódnice góralską :). I tak oto uczę się codziennie wychodzić ze swojej strefy komfortu, w przeróżnych sytuacjach. Pokonywać swoje bariery, po to, by wywołać u kogoś uśmiech, by poruszyć czyjeś serce, by rozbawić zatroskanego, by odciągnąć na chwilę uwagę od tego, co na co dzień przygniata, by pozostawić wspomnienie, do którego można wracać.





Kochani, kończę ten list w nadziei, że zrozumiecie trochę bardziej, na czym polega nasza misja tutaj. O naszych Przyjaciółach na pewno będę pisać więcej w kolejnych listach, ten list to dopiero początek :) Dziękuję wszystkim, którzy wysłali do mnie wiadomości po poprzednich listach. Bardzo mnie one cieszą. Wiedźcie też, że pamiętam o Was w codziennej modlitwie.

Ściskam z zimnego Peru,

Karolina